

SŁOWAK

CZASOPISMO KULTURALNO - LITERACKIE

NR 15, WRZESIEŃ 2020



Drodzy Czytelnicy,

tegoroczne wakacje dobiegły już końca - zaczyna się nowy rok szkolny pełen wyzwań i zmian. Dla wielu z Was będzie to rok poszukiwania swoich pasji, zainteresowań czy też odnajdywania przyjemności w codziennych obowiązkach. Mamy ogromną nadzieję, że będzie to również czas owocny w wszelkiego rodzaju wiersze, opowiadania, artykuły, eseje, czy też rysunki i fotografie. Zawsze z ogromną radością przyjmujemy każde nadesłane przez Was prace i liczymy, że będzie ich coraz więcej, ponieważ bez Was nie byłoby tego czasopisma!

Monteskiusz kiedyś powiedział, że: *czytanie było mi najlepszym lekarstwem przeciw zniechęceniu do życia; nigdy nie miałem troski, której by godzina spędzona na czytaniu nie rozproszyła*. Życzymy Wam wszystkim, aby każde pojawiające się zmartwienie w czasie tego roku szkolnego, mogło być odsuwane na drugi plan za pomocą literatury, która niewątpliwie potrafi przenieść każdego z nas w swój magiczny świat.

W tym wrześniowym wydaniu możecie przeczytać dwa wiersze Karoliny Grzesik o niesamowitej tęsknocie, mającej ogromny wpływ na życie człowieka. Zachęcamy również do przeczytania utworu Weroniki Wołowczyk o pewnej tajemniczej dziewczynie i jej spostrzeżeniach o otaczającym ją świecie.

W dziale proza warto zapoznać się z krótkimi anegdotami *Espantajo*, które bez wątpienia ukazują codzienną, niekiedy szarą rzeczywistość, z innej perspektywy. Jeżeli poszukujecie ciekawej pozycji literackiej na jesienne wieczory to Kacper Łukowicz zrecenzował powieść Sally Rooney pt. *Normalni ludzie*. Natomiast Marta Banaś w swoim felietonie przedstawia niesamowitą historię, która rozegrała się w samym centrum włoskiego miasteczka, Werony. Na sam koniec warto zajrzeć do dzienników szkolnych, napisanych przez samego *Espantajo*.

Życzymy wielu wrażeń!

Redakcja

Projekt okładki: Julianna Stachaczyk

Zespół redakcyjny:

Redaktor naczelna: Marta Banaś

Zastępca redaktora: Karolina Grzesik

Opiekun redakcji: Damian Straszak

Dziennikarze: Maria Smorczevska

Spis treści

Poezja

Karolina Grzesik

zombie (str.5)

rozstanie (str. 5)

Weronika Wołowczyk

*** (str.6)

Proza

Espantajo

Opiski (str.8)

Recenzja

Kacper Łukowicz

Normalni ludzie (str. 14)

Varia

Marta Banaś

Kaj my to som? (str. 17)

Espantajo

Dzienniki szkolne (str.19)

POEZJA

Karolina Grzesik

rozstanie

nie będę przepraszać
gwiazdy nie przewidziały dla nas wieczności
jak mogę sprzeciwić się bogom
jak mogę oddalić się od nich
skoro oni tkwili przy mnie zawsze
słuchali moich modlitw
wypowiadanych co rano
pozwól mi odejść
bez łez bez wyrzutów
zniknąć w głębinie oceanu
i zwyczajnie zatonać

zombie

wstajesz i siadasz
tak jak ci każą
chyba przestajesz powoli myśleć
wykonujesz rozkazy
wstajesz i siadasz
wszyscy wokół robią to samo
wstajesz i siadasz
znowu od początku
ta sama rutyna
niewolnicza praca
wstajesz i siadasz
nie myślisz za siebie
wstajesz i siadasz
morze zgranych ciał

Weronika Wołowczyk

Czuję nowe dźwięki
Wszędzie słyszę dym
Przed oczami myśli
Słowa biegną w tył
Nie zatrzymam głowy
Ciało chyba śpi
Wsluchaj się uważnie
- Cisza nadal brzmi

Ignoruję przestrzeń
Wchodzę w inny rytm
Mówią: nowe dzieci
- Coraz gorszy krzyk
Zatłoczone sieci
Zaraz wpadnę w szal
Zagubiona cisza
Ona nadal trwa

Otaczam się słowami
One ukryją mnie
Szukasz między wierszami
Lecz ciągle gubisz się

Otaczasz się słowami
One ukryją Cię
Szukam między wierszami
Lecz ciągle gubię się

PROZA

Opiski

Espantajo

Zdarza mi się fascynować ludzkimi zachowaniami. Intrygujące szczególnie są te wywołane sytuacjami nagłymi, przewidywalnymi, ale niezaplanowanymi. Podjąwszy decyzję w pośpiechu, bez namysłu dłuższego ni krótszego nawet, popełniamy ekshibicjonizm mentalny. Wynętrzamy się niechcąc, nie wiedząc po fakcie, czy powinniśmy przeprosić. Zdarza mi się obserwować ludzi. Zdałem sobie sprawę, że niekiedy sprawia mi to przyjemność. Wycho-dzę z domu, żeby ludzi posłuchać.

Konsternację i inne emocje obudzić może wizyta w zwykłym sklepie spożywczym, gdzie z jednej strony leżą na wpół martwe warzywa i owoce, z drugiej absolutnie martwe zwierzęta. Zdarza mi się przysłuchiwać rozmowom prowadzonym publicznie. Sam staram się pogawędek nie wszczynać. Szczególnie staram się unikać konwersacji z paniami ekspedientkami, które nim pytanie usłyszą, już są w stanie udzielić trzech odpowiedzi co najmniej. Poza tym niewiele jest chyba zjawisk czy sytuacji, które mogłyby wzbudzić w nich zażenowanie. Odważyłem się raz. Zastanawiam się, co mną kierować mogło.

Ciepło nieznośnie, duszno bardzo. W ciasnym i pozastawianym skrzynkami pomieszczeniu sklepowym upał przybierał na sile. Klient stojący w kolejce przede mną nie był nazbyt chy-ży, właściwie był bardzo nieprędko i mniej jeszcze zdecydowany. Zachowywał się nieco

jakby na wystawę był się wybrał i każdemu eks-ponatowi przyglądał się z uwagą wielką i pie-tyzmem, w dodatku z różnych odległości. Mimo pytań pani za ladą, niewiele odpowiadał, wskazywał palcem tylko i pomrukiwał nieznacznie zza maseczki ochronnej, co spra-wiało wrażenie rozmowy alfabetem Morse'a. Kiedy wreszcie wykreskować i wykropkować udało mu się listę życzeń warzywnych i owoco-wych, przyszła pora na mnie.

Prosząc o podanie konkretnych artykułów, ośmieliłem się wspomnieć, że duszno dość w tej maseczce, co to niby nie pomaga, ale jednak pomaga, bo przecież ze słów pana ministra od narodowego funduszu zagłady wywnioskować można, że każdy jest tak samo niebezpieczny, co i zagrożony. Pani wbijając kody w kasę fiskalną bez zająknięcia skonstatowała, że jeśli miałbym ochotę zemdleć, to nie powinienem się nic a nic krępować, gdyż ona wraz z koleżanką z wielką przyjemnością pospieszą mi z pomocą i od-dadzą się przeprowadzeniu reanimacji. Szczególnie chętnie przywrócą mi oddech. Jedyne co byłem w stanie powiedzieć, to 'aha, cieszę się, że trafiłem na profesjonalny i prze-szkolony na takie sytuacje personel'.

Od tej pory unikam wszczynania pogawędek. Ograniczam się do 'poproszę' i 'dziękuję', a mi-mo to dane jest mi słyszeć aluzyjności i dwu-znaczności sardonicznych ekspedientek: 'przy-

tulamy się czy klepiemy’, co oznaczać ma: **Pantałyk**
‘zblizeniowo czy na PIN’.

Zalani w trzeźwości

Pewne zdarzenia lepiej obserwować z dystansu, niżli w nich uczestniczyć bezpośrednio, co zapewnia lepszy ogląd, szersze spektrum postrzegania i pozwala nie partycypować w praniu cudzych brudów...

Kiedy po uruchomieniu tężni solankowej w Chorzowie trwała walka o miejsca na ławkach wokół tej zmyślnej instalacji, pewna młoda osoba postanowiła zadbać o higienę (czasy zarazy) i zdecydowała się w zbiorniku tężni pranie skutecznie. Bardzo ciekawie musiała była zaplanować proces cały, ponieważ w kilkanaście minut uprała: spodnie, kilka koszulek i kołdrę. Natomiast najbardziej zainteresował mnie proces wirowania, który polegał na kręceniu nad głową wypranym przedmiotem tak długo, aż wymagał on już tylko wykręcenia i rozwieszenia na niemal samobieżnej suszarce, którą w tym konkretnym przypadku był wózek ‘wypożyczony’ z supermarketu. Proces wirowania nie zdumiewał z powodu wykorzystania działania siły odśrodkowej. Intrygowała reakcja ludzi, na których owa esencja pralniana się wylewała. Ludzie zajmujący miejsce na ławkach musieli bić się z własnymi myślami: wstać, uniknąć zlania przez odwirowywaną wodę solankowo - wypłuczynową i stracić miejscówkę czy też dać się zlać, ale za to w jakim miejscu. Chyba trafiło na weteranów wakacji nad ‘polskim morzem’: nieważne, że leje, ważne, że jesteśmy. Być może byli nieco zdezorientowani brakiem parawanów...

Ważne, żeby nie dać się zbić z pantałyku, tak jak nie pozwolił na to pewien starszy pan przechodzący z małżonką obok kawiarni z marabutem w tle. Owo ptaszysko mimo niezwykłego spokoju i bezruchu sprawiającego wrażenie marazmu absolutnego, ciągle wzbudza emocje i wprowadza zamieszanie:

Ona: Co to za ptak?

On: Nie wiem, marabut chyba.

Ona: Zdechł?

On: Niiieee, wypchanego postawili.

Ona: Ale patrz: mrugnął.

On: Zdawało ci się.

Nie zdawało się, rzeczywiście czasami mrugnie - zapewne kiedy wzburzoną jest. Sam widziałem razy kilka.

Czasami ów zwierz stojąc na jednej nodze, głową poruszy. Wówczas wzbudza jeszcze większe emocje wśród spacerowiczów, stając się studnią historii dylematycznych:

Dziecko: Mamo! Ale wielki bocian!

Mama: To nie bocian, tylko flaming.

Dziecko: Ale flamingi są różowe...

Mama: Ten jest czarny i łyśy. Chodź już, bo się przestraszy i odleci.

Dziecko: Ahhaaaa - wyszeptało, posłusznie poddając się sugestiom mamy.

Dzieci wesolo...

Jak mawia klasyk: ‘Coraz trudniej znaleźć dobrą opiekunkę do dziecka, a jeszcze trudniej znaleźć dobre dziecko’. Nie wszystkie pociechy swoich rodziców są tak podatne na sugestie.

Ktoś mógłby powiedzieć: klasyczny model nowej rodziny, tj. mama, ciocia, Dżesika,

Brajanek, Denisek, Kinga i jeszcze dwójka mniejszych szkrabów w wózkach spacerowych. Najstarsza trójka zapytana o to, kogo najbardziej kochają, pochłaniając lody, jednoznacznie i jednogłośnie potwierdziła, że 'jak to kogo najbardziej kochają... no przecież mamę i ciocię'. Niezwykłą radość sprawiły te słowa 'brundynce' (pani bowiem miała włosy koloru ciemnego u nasady i barbie - blond na końcach) oraz mamie 'blonetce' (włosy w kolorach odwrotnie proporcjonalnych). Tylko Kinga, Kinia pozostała, zacięła się w sobie i nie odpowiedziała. Brudnynka, żeby niezręcznie nie było, zaczęła dopytywać: 'Kiniu, a ty kogo najbardziej kochasz, mamę czy ciocię... no powiedz'. Naciskana około czteroletnia córka blonетки po chwili zakrzyknęła: 'Nikogo nie kocham!' i wróciła do zajmowania się lodowym różkiem, czym wprawiała w osłupienie mamę i ciocię. A ja oddaliłem się wesół, chichrając się tak, co by mnie nie usłyszano. Dziecko prawdę ci powie...

Marabut, studnia historii dylematycznych.

Ona: To nie jest prawdziwy ptak.

On: Jak nie?!

Ona: To co on robi?

On: Stoi.

Dziecko: Łaaa!

Czasami marabut zdecyduje się zrobić okrążenie po swoim wybiegu. Zdradza tajemnicę, że ni sztuczny, ni wypchany... jego popularność wzrasta. Celebryta, kabotyn wstrętny. Na chwilę przestaję darzyć go sympatią, pozostaje tylko podziw dla opanowania i bezruchu zwyczajnego.

Pies koneser

W chwil kilka po biegu marabucim, żeby łatwiej przełknąć mało intrygujące opowiadania (ileż można czytać o wędkowaniu i o tym, że ksiądz obiecał, a się nie wywiązał a w ogóle to 'kobiety są źródłem wszelkiego zła') i szowinizm wieloletniego partnera polskiej poetki - noblistki, zamawiam kieliszek białego wytrawnego. Siadam w fotelu i na stoliku zrobionym ze skrzynki na piwo stawiam wino. Wracam do lektury książki, gdzie forma stanowczo góruje nad treścią. Po krótkiej chwili rozprasza mnie trzymiesięczne szczenię Akito w wersji amerykańskiej. Spory jak na 90 dni żywota. Bardziej jednak dziwi, że wtyka pysk do kieliszka i wypija połowę jego zawartości. Mnie ogarnia konsternacja, no bo od kiedy psy pijają wino w dodatku nie swoje. Właścicielka wydaje się być zawstydzona. Przeprasza mnie, przyprowadza szczeniaka do porządku. Jednocześnie żali się, że pies wody pić nie chce i albo rozlewa, albo szczeka jak opętany i nie dość że trzeba na karmę dla psa wydawać, to jeszcze na piwo... Rzeczywiście piesek wody pić nie chce, drze się okrutnie i wywraca miskę. Wtedy pani posłusznie wlewa mu do niej butelkę piwa. Piesior wypija, wylizuje wszystko aż do ostatniej kropli i zasypia. Pies koneser - myślę sobie. Nie będzie pił wody - jak zwierzęta, woli piwo. Proces ludzkiej asymilacji. Byle mu koncerniaków nie polewali...

Natura - kultura

Wieczorową porą piątkową zmierzam w stronę marketu. Zapasy wypada uzupełnić: nigdy nie wiadomo, kiedy jakieś dziwne ustawy się

pojawia, tym bardziej, że posłowie lubią rano pospać i wolą nocami pracować. Niby pada, niby nie... Parasol nie pomaga, ale bez niego jakoś gorzej. Światło czerwone, wszyscy idą, nie ja, ja nie wszyscy, ja wyznaję nonkonformizm. Stoję, czekam, a czekając nasłuchuję, bo to uderzyć grom z jasnego nieba może, a co dopiero z ciemnego. Widzę dwóch panów w dresach czarnych, wyjściowych, z białymi paskami. Niesamowicie ludzi do kultury ciągnie, co wnioskuje z kilku słów Pana w czarnym dresie z białymi paskami: "Bo ona nie rozumie, że ja to tak czasem muszę, potrzebuję, no muszę się kurwa odchamić...". Zdaje się, pan na początku drogi. Życzę powodzenia. Wszelkie wysiłki w tym kierunku należy wspierać.

Mamo! Ja wariat!

Podobno każdy jest w jakimś stopniu nienormalny. Niektórzy - tak jak ja - są na tyle nienormalni, że przyciągają do siebie wszystkich wariatów z zasięgu wzroku, co doprowadza do najróżniejszych, ale dziwnych sytuacji.

I tak kawą delektując się i dobrym towarzystwem, rozmowę snując, widzę człowieka mało trzeźwego i już wiem, że on do mnie podejdzie. Było to tak pewne, że w ogóle mnie nie zaskoczyło. Zatem pan podchodzi i pytanie zadaje, czy widać, że jest pijanym. Oświadczam, że owszem, tak: widać. I już oddalić się zamierzałem, ale okazało się było, że to nie koniec quizu, gdyż pan dowiedzieć się chciał, ile piw był wypił. We wróża zamienić staram się, ale niestety: nic z tego. Podając liczbę: cztery, rozweselałem jeszcze bardziej Pana po sześciu.

Kultura z pyska tryska

Wchodzi młoda kobieta do Dopełniacza i pyta: Są papierosy? Następuje konsternacja, ja się uśmiecham.

Przy stoliku siedzą baby dwie, pogrążone niby w lekturze. Nagle symultanicznie wybuchają ekstatycznym śmiechem. Pani od fajek słyszy odpowiedź, że 'nie, papierosów nie prowadzimy', ale przykro robi się wszystkim z powodu dwubabskiego rechotu. No i co z tego, że czyta ją... Nawet pisać zdaje się jedna z nich.

Piękny uśmiech

Przyciągania oryginałów przypadek kolejny. Nowy rynek w Chorzowie, stoję i czekam, i słyszę nagle coś, czego oczekiwać nie chciałem, a jednak doczekałem się. Idzie pijany, wydziarany, bez koszulki. Wykrzykuje hasła propagujące Ruch i deprecjonujące wszystkie inne kluby piłkarskie. On mnie jeszcze nie widzi, ale ja już wiem, że podejdzie. Wiem, że nie mam co się ruszać, bo i tak mnie dosięgnie spotkanie z osobnikiem. Stoję więc i czekam jak na wykonanie wyroku. Dzwonów tylko brakuje, krat, kata i szubienicy, ale idzie on: kumulacja tego wszystkiego. Podchodzi i wykrzykuje: Pomóż mi!

Zdumiewam się trochę i wyburkuję: Heee? Na co osobnik stwierdza, że już nie chce pić i mam mu pomóc. Zachowuję się jak konformista, odpowiadając: Dobrze, żaden problem. Usłyszawszy moją odpowiedź, osobnik stwierdza, że mam piękny uśmiech (zapewne chodzi mu o grymas), że nie jest gejem, po czym odwraca się na pięcie i odchodzi, a ja stoję dalej i nie wiem, co się właśnie stało i czy śmieszne to było, czy nie.

Małpa, nie marabut

Towarzystwo młodzieżowe, ich troje, a raczej ich dwoje i ona jedna, wszyscy ubrani w koszulki z haczykiem na piersi. Patrzą na marabuta i dyskutują:

Patrz, pawian.

To nie pawian, tylko paw.

Ale paw jest kolorowy, zielony. To jest indyk.

Taaaa, chyba indor!

Dlaczego indor?

Bo mu fiut wisi pod szyją.

I znowu marabut wszystkich wykiwał.

Literatura przyziemnie

Zażywając cienia w dzień upalny, siedzę na ławeczce przy chorzowskiej tężni. "Stramera" czytam, bo to książka do Nike nominowana i niezłym językiem zapisana, ja lubię. Wnet mężczyzna do mnie podchodzi nie jakiś charakterystyczny, pijany czy z syndromem cwajkowym. Trzeźwo wygląda, chyba w wieku wczesno przedstarczym, tj. wiosen liczyć może z trzydzieści i pięć. Przysiada się i o lekturę wypytuje. Zabieram się za zachwalanie i komentowanie, i tematy literackie omawiamy. Wtem pan stwierdza, że właściwie to chciał mnie prosić o zakup piwa. Pomyślałem, że tak wrażliwa literacko istota nie powinna cierpieć pragnienia. Z wdzięczności pan przedstawił się: Dzięki, Mateusz jestem. A ja mam nowego znajomego w Centrum...

Tup, tup

Pora wieczorowa, ciepła, spokojna. Wracam z miejskiego podsłuchiwania historii wytwo-

rzonych lub spełnionych. Słyszę do drzwi pukanie. Gości się nie spodziewałem, tym bardziej, że mniej ich w obecnej sytuacji być może. Otwieram i widzę mężczyznę dość młodego, nie znam człowieka. Przedstawia się: "Dzień dobry. Jestem Tomek. Mieszkam pod panem". Ja główkuje, czy to taki zwyczaj, że się sąsiadom przedstawia?

Tomek szybko rozwiewa moje wątpliwość i kontynuuje prośbą i pytaniem, czy mógłby postarać się tupać nieco mniej, szczególnie o piątej rano. Zatkąło mnie trochę i od tej wizyty na palcach mieszkanie swoje przemierzam.

Karczek ku chwale ojczyzny

Święto Wojska Polskiego. Ludzi sporo. Gawiedziowstręt mam, więc nie opuszczam marabuta. Obserwacje prowadzę z za krat - może warto się przyzwyczajać. Samochód za-prezentowali: przejechał trzy metry do przodu, dwa do tyłu.

Wchodzi wojskowa orkiestra dęta i gapiom robi papparara i tiruriru.

Wtem z głośników wojskowych głos dobiega: "Dywizjon wprowadzić!". Powaga zapanowała do momentu, gdy z konkurencyjnych głośników damski głos wykrzyczał: "Dwa razy karczek proszę odebrać!". Wodzirej imprezy wojskowej opowieści snuje o kompanii honorowej... "Zamówienie 81 do odbioru proszę"... Papparara...

RECENZJA

Recenzja książki Sally Rooney pt. "Normalni ludzie"

Kacper Łukowicz

Ona – Marianne – jest nielubianą w szkole, wycofaną licealistką z bogatej rodziny.

On – Connel – szkolnym playboyem, wychowywanym jedynie przez matkę, która sprząta w jej domu. Pomimo wielu różnic, (zarówno tych w charakterze, jak i społecznych, oraz materialnych) Marianne i Connela połączyła miłość. A przynajmniej coś na jej wzór, bo czy można miłością nazwać relację, którą uporczywie ukrywa się przed światem zewnętrznym?

Sally Rooney wydaje się zadawać takie właśnie pytanie, a odpowiedź na nie eksploruje na trzystu stronach swojej drugiej powieści, której bohaterów poznajemy w ostatniej klasie liceum. W centrum historii znajduje się szal imprez, buzujące hormony, trudne dojrzewanie oraz skomplikowane odkrywanie swojej seksualności.

Coś, co można opisać, jak zwykłą historię, (która przecież każdego z nas dotknęła lub dopiero dotknie) Sally Rooney zamienia w skomplikowane psychologiczne stadium relacji opartej na zależności i wstydzie. Marianne i Connela obserwujemy na przestrzeni kilku lat, podczas których poznajemy wzloty i upadki ich relacji, a także staramy się zrozumieć,

jakim cudem tak odmienni bohaterowie mają się mimo wszystko ku sobie. Odpowiedź na to pytanie jest bardzo skomplikowana i w ani jednym miejscu niepodana wprost. Myślę, że to w tym tkwi siła powieści Rooney. W podawaniu czytelnikowi jedynie wydarzeń i myśli bohaterów, ale pozwoleniu mu na własną analizę psychologiczną postaci, poprzez wstrzymanie się autorki od osądów.

Na uwagę zasługuje również narracja, dzięki której historia podana jest w bardzo nietypowej formie. Na przestrzeni każdego rozdziału występują dwie linie czasowe. Jedna napisana w czasie teraźniejszym, druga w czasie przeszłym, (kończąca się najczęściej w momencie rozpoczęcia tej pierwszej). Forma jest więc zawiła, jednak dodaje ona historii pewnej tajemnicy oraz pozwala na własną interpretację niektórych niedopowiedzeń.

Takie niedopowiedzenia możliwe są, ponieważ historia Normalnych ludzi przedstawiona jest za pomocą kilkunastu scen, które obserwujemy na przestrzeni życia Marianne i Connela. Taka kompozycja powieści budzi skojarzenia ze Scenami z życia małżeńskiego Ingmara Bergmana, gdzie również poznawaliśmy historię miłości na różnych etapach życia bohaterów. U Rooney jednak, te etapy nie są aż tak odległe jak u Bergmana.

W *Normalnych ludziach* między kolejnymi scenami czasem mija kilka dni, kilka tygodni, czasem kilka miesięcy, a w niektórych przypadkach tylko kilka godzin. Taki zabieg pozwala na dogłębne poznanie bohaterów, zaobserwowanie ich dojrzewania oraz dostrzeżenie jak niektóre drobne rzeczy, które zdarzyły się w przeszłości mogą kotłować się w człowieku przez lata, tylko po to aby doprowadzić do dziwacznych fobii albo innych nietypowych upodobań.

Rooney jednak nie utworzyłaby tak realistycznego obrazu młodych ludzi, gdyby nie styl w jakim pisze. Dobór słów, których używa pozwala jej na wytworzenie bardzo obrazowych, a mimo to oszczędnych, wyjątkowo intymnych impresji z życia bohaterów. Taki efekt autorka osiąga również poprzez przykładanie wagi do opisów drobnych, pozornie nic nieznaczących gestów, które urzeczywistniają protagonistów.

Niestety w mojej opinii, pieczołowite zbudowanie postaci Marianne i Connela odbiło

się na reszcie pobocznych bohaterów. W zderzeniu z temperamentami protagonistów wydają się być jedynie narracyjnymi narzędziami, a nie postaciami z krwi i kości. Taki zabieg można jednak autorce wybaczyć, jeżeli stwierdzimy, że w opowieści o miłości to tylko dwie osoby powinny być w centrum historii.

Normalni ludzie to powieść bardzo nietypowa i pełna fascynujących skrajności objawiających się zarówno w formie, jak i w bohaterach. Przede wszystkim, jest to jednak książka wyjątkowa i być może w przyszłości ponadczasowa. Nie wiadomo, czy kiedyś do kanonu miłosnych relacji, w których już znajdują się Romeo i Julia, Tristan i Izolda, czy Abelard i Heloiza nie wejdą również Marianne i Connel. Z całą jednak pewnością *Normalni ludzie* to powieść miłosna ery Facebooka i Instagrama, która wcale nie jest gorsza, (co więcej, jest nawet bardziej autentyczna) od wyżej wymienionych.

VARIA

Kaj my to som?

Marta Banaś

Świadectwo ukończenia szkoły odebrane, maturzyści w sierpniowy poranek poznali również wyniki egzaminu dojrzałości – pojawia się zatem pytanie: co teraz? Teraz jest czas decyzji. Czas jakże ważny, ponieważ decydujemy, co będziemy robić przez następne lata. Jedni planują długą podróż po Europie, pragnąc poznać trochę bliżej ten znany/nieznany (niepotrzebne skreślić) świat – zasmakować innego życia. Inni przeglądają strony internetowe uniwersytetów w poszukiwaniu kierunków, które pozwolą im realizować swoje pasje i rozwijać zainteresowania. Ja, pośród tego zgiełku, zaczęłam wspominać. Przywołuję w pamięci wszystkie ważne dla mnie osoby i sytuacje z nimi związane. Wspominam jakże bliską mi Hiszpanię, dzięki której poznałam nieco lepiej kulturę półwyspu iberyjskiego, ale co ważniejsze odkryłam miłość do „ichniejszego” języka.

Właśnie tak, wędrując w myślach tam gdzieś daleko, przypominam sobie również Weronę, urokliwe włoskie miasteczko, które miałam okazję zwiedzić w ciągu jednego zaledwie dnia w czasie podróży do Hiszpanii i pewne niecodzienne zdarzenie ... ale zacznijmy od początku. Zapraszam Cię, drogi czytelniku, w podróż do miasta zakochanych...

Półwysep Apeniński. Włochy. Weronę. Czyż nie każdemu to miasto kojarzy się z najtragiczniejszą historią miłosną XVI wieku? To właśnie w tym małym miasteczku, położonym w północno-wschodnich Włoszech, nad rzeką

Adygą William Shakespeare umiejscowił akcję dramatu *Romeo i Julia*.

Czym może zaskoczyć nas Weronę? Wąskie uliczki, kryjące w sobie pewnego rodzaju magię, potrafią bez wątpienia zainspirować, a zarazem ukazać prawdziwe oblicze miasta. Przechadzając się nimi w słoneczny dzień, zauważyłam, jak wielu ludzi zatrzymuje się, aby robić zdjęcia pięknie przystrojonym balkonom i przyglądać się na co dzień żyjącym tam mieszkańcom. Lecz ja od początku wiedziałam, jaki jest cel mojej wycieczki - jako wielka miłośniczka literatury, pragnęłam zobaczyć słynny balkon, z którego wychylała się Julia, aby zobaczyć ukochanego Romeo. Jednakże odnalezienie go zdecydowanie nie było prostym zadaniem. Kręte uliczki wypełnione regionalnymi sklepikami, urokliwymi restauracjami oraz przechadzającymi się turystami, którzy co jakiś czas zatrzymywali się, szukając idealnego miejsca na zdjęcie pamiątkowe, dodatkowo utrudniały poszukiwania obranego celu. Niedługo potem jednak dotarłam na miejsce i moją uwagę przykuła ilość kłódek w kształcie serc przypiętych do bramy prowadzącej na plac. Mieszkańcy Werony uważają, że właśnie taki rytuał ma zapewnić zakochanym wieczną miłość i szczęście. Zaczęłam się zastanawiać czy historia tych wszystkich par również była bogata w wszelkiego rodzaju zwroty akcji jak historia Romea i Julii?

Ku mojemu ogromnemu zaskoczeniu pod

domem stał tłum ludzi, próbujących sfotografować mały balkonik. Z trudem udało mi się podejść bliżej i przyrzeć się z bliska całemu budynkowi. Co ciekawe na dziedzińcu stał również pomnik Julii, który jest jednym z najchętniej fotografowanych obiektów w całym mieście. Legenda głosi, że dotknięcie prawej piersi kobiety gwarantuje niezwykle powodzenie w miłości.

Wspominam dalej i przypomina mi się sytuacja, która wprowadziła mnie w wielkie zdziwienie.... Wracając późnym popołudniem na miejsce zbiórki, zdecydowałyśmy się wraz z koleżankami udać do jednego ze sklepów spożywczych na małe zakupy. Jako że było dużo klientów, a niestety tylko jedna kasa otwarta, musiałyśmy stać cierpliwie w bardzo długiej kolejce. Jedna z moich koleżanek z racji swojej wyjątkowej pasji do śpiewu zaczęła nucić utwór Krystyny Prońko - *Psalm stojących w kolejce*: „Za czym kolejka ta stoi...”. Niestety nie mogła sobie przypomnieć dalszej części tekstu, dlatego też zwróciła się z pytaniem do mnie i drugiej koleżanki: „Co było dalej?” Dywagując nad tym jakże ważnym problemem, usłyszałyśmy głośny męski śmiech tuż za naszymi plecami. Nie zareagowałyśmy, licząc w duchu, że to na pewno nie do nas, ale po krótkiej chwili ktoś odpowiedział: „Dziewczyny, ja do końca dnia będę się teraz zastanawiał, za czym kolejka ta stoi...”. Wyraz osłupienia, który pojawił się na naszych twarzach bez wątpienia na długo zapadnie w pamięć postronnych obserwatorów zdarzenia. I w tym momencie przypomniała mi się inna scena, ta opowiedziana przez Aleksandra Nawareckiego w książce *Lajerman*, w której autor opisuje wymarzoną wyprawę trzech dziewczyn z Chorzowa do Indii w latach

osiemdziesiątych. Kiedy po trudach przemierzania tego rozległego kraju dotarły do stolicy Katmandu, trafiły wprost na uroczyste obchody buddyjskiego święta - wśród zapachu kadzideł, odgłosu bębnów i piszczałek, nagle usłyszały przeszywające powietrze pytanie w jakże bliskiej im i znajomo brzmiącej gwarze śląskiej: „Kaj my to som?”. Trzeba wyobrazić sobie zdziwienia, jakie malowało się na twarzy dziewczyn, gdy usłyszały te słowa wypowiedziane setki kilometrów od ojczyzny w tak egzotycznej scenerii. Jedna z nich, po chwili oprzytomnienia odpowiedziała: „Tukej my som”. I wtedy po drugiej stronie zapanowała cisza. Jak się później okazało pytanie to padło z ust jednego z członków polskiej wyprawy na Lhotse, spędzających sierpniowy wieczór w stolicy Nepalu.

Tak, to właśnie to samo bezgraniczne zdziwienie udzieliło się i nam, kiedy po dniu spędzonym na zwiedzaniu urokliwych, romantycznych uliczek włoskiego miasta, w tych przyziemnych „kolejkowych” okolicznościach, usłyszałyśmy znajomo brzmiący rodzimy język, kogoś kto znał tę piosenkę i podobnie jak my nie umiał przypomnieć sobie jej dalszych słów. Doświadczenie „domu” właśnie tu, wśród dochodzącego z każdego zaułku miasta melodyjnego języka włoskiego było niczym powiew letniej bryzy orzeźwiającej nasze twarze. Ostatecznie, nie ważne, gdzie się znajdziemy w zawitych drogach naszego życia, pamiętajmy jednak skąd przyszliśmy.

Dzienniki Szkolne

Ile zapłaciłbyś za polanie nauczyciela wodą?

Z Teatru dzwoni Pan i przestrzega, że tekst wybrany na czytanie performatywne wulgarny zawiera... Chciałby uniknąć wśród uczniów zgorzenia. A ja zdumiewam się, jak to możliwe, żeby żadnego licealisty nie znał.

Vespula vulgaris vs. canis lupus: największa siła tkwi jednak w umyśle bystrości, nie w mięśni wielkości.

Zacząłem się już obawiać o stan mojej pamięci i podejrzewać, że Alzheimer moje przedmioty ukrywa. Okazało się szczęśliwie, że to Szefer wszystkich prezesów i Kroll żarty sobie stroją, potem reakcję moją obserwując. Optymistycznie odczytuję to jako wyraz sympatii. Kto zabronić takiego optymizmu mi może?

Skargi na wyznawców e-świństwa się mnożą. "Cwajka" wkracza na salony, tj. do "Klubu pod pisuarem" (sic!).

Qui pro quo na zajęciach językowych podczas wspomnienia pasji, zamiłowań i antypatii z dzieciństwa i porównań czynienia z obecnymi. Czy możliwym jest pomylenie "ptaka" z "onanistą"? Owszem, tak.

Plugawy język szykanując, rzekomo wolność słowa ograniczam. Przecież ci, którzy mnie

znają, wiedzą, że opinie nawet z tych najbardziej próżnych i paranoicznych z indyferencją staram się traktować. Impertynencją gardzę.

Znów dzień muzyczny mamy... Powtórka z rozrywki? Nie nasuwa się już pytanie: "Jak oni śpiewają?", lecz: "Dlaczego?".

Spotkałem dziś w szkole, a dokładniej rzecz ujmując: w atmosferze gęstej, dymnej o zapachu owocowo urynowym, arbuźów hodowcę. Owoców owych nie postrzegłem, ale z postawy osobnika konkludowałam sobie pozwalam, że skrył je pod pachami. Przypuszczenie snuję, że nie tylko arbuzy ukrywał...

Wieść niesie, że kolejny piątek odstresowująco - pieśniarski. Stresować się zaczynam i truchleję na myśl samą, że kolejni "wokaliści" talenta swe odkryją.

Dyżur pełniąc, korytarzem spaceruję i powieszona na mojej osobie psy prowadzę, jedne takie safandulowate, inne knajackie jakby trochę. Idę zatem i znów znajomy zapach dobiega: owocowo urynowy. Nie żebym był wścibski, ale ciekawy to tak. Wchodzę więc do toalety damskiej i panna z nieco przydymioną bystrością zapytuje, jakim ja prawem do damskiej i w ogóle... Klasycy mi się włączyli i odpowiadam albo wydaje mi się, że odpowiedzi udzielam, że "odwiecznym prawem natury". Użytkowniczki okazały się nie być właścicielkami e-dziadostwa. Ten miał się zgłosić, ale nie miałem przyjemności poznać. Przypominam sobie Słowackiego i "nie tracę nadziei", i może miast psów wieszania, dytyrambu się doczekam.

"Magiczny czas grudniowy"... Tak mi się coś wydaje, że im bliżej "rozwiązania" i ciemniej,

tym ta magia jakaś ciemniejsza, żeby w ostateczności czarną stać się miała. Wszyscy na wszystkich wkurzeni: że oceny trzeba wystawiać, że trzeba oceny poprawiać, buro, zimno, śniegu nie ma, deszcz pada, słońce świeci, choinka rachityczna i nie pachnie wcale, filmy studniówkowe trzeba kręcić, a nie ma komu etc. Wszyscy biegu potrzebę odczuwają, wiedząc jednocześnie, że przystanąć wypada a nawet trzeba... Zatrzymamy się później, jak już wszyscy do domu pójda. Póki co pozostaje tuzowanie się z myślami i innymi biegaczami.

Filmy studniówkowe o różnej fabule: tu baśniowo, tam sensacyjnie. Zachodzę zatem w głowę, dlaczego w każdym, w którym twarz mam pokazać, ludzi wodą polewam albo siekierą grozę. I tak już od lat kilku. Czyżbym był właścicielem urody ponurej?

Rzeczywistość nie istnieje, istnieje tylko Librus.

Są jeszcze na świecie gentelmani prawdziwi, a co najmniej jeden: Kardynał Szara Eminencja - nieoficjalny prezes i wiceprezes szkoły. Jeżeli obietnicę złoży, to "nie ma mocnych", słowa dotrzyma. Świadomy tego, proszę go, aby mi z imienia ani przypadkiem, ani zaplanowawszy wcześniej nie dziękował publicznie za zdarzenia i zjawiska, których sprawcą nie jestem, a przynajmniej nie całościowo. Do prośby się stosując i sumienia własnego nie ignorując, podziękował pewnemu znanemu nauczycielowi - którego z imienia wymienić nie mógł - tak, że wszyscy wiedzą o kim mowa była. Szanowny Kardynale, kto nas bawił będzie, gdy Ciebie już w szkole nie będzie?

Zauważać zjawiska ciekawe zacząłem. Kiedy pojawiając się na drugim piętrze, z toalet

licealistów tłumy wybiegają, lecz to raczej nie na powitanie moje, bo wówczas w moją, nie w przeciwną stronę by biegli. Kiedy znów w holu się pojawiają, niektórzy padają na schody wiodące do szatni lub z nich zeskakują. Zdumiewa mnie to tym bardziej, że podobno młodzież aktywności fizycznej i sali gimnastycznej unika. Wierzyć w te pogłoski tym trudniej, że na korytarzach szkolnych ćwiczeniom się chętnie oddają, czemu przyglądać się mogę już od czasu jakiegoś: sprinty, skłony i przysiady.

Na zapleczu telefon dzwoni. Biegnę więc, rzucam się po słuchawkę, by zdążyć, odbieram i myśląc, że to z sekretariatu ktoś, żartuję sobie głosem Romana Kostrzewskiego czytającego "Listy z Ziemi" Twaina: "Tu piekło, słucham!". Odpowiedź słyszę wypowiedzianą tonem nieco skonfundowanym: "Aha... to pomyłka. Przepraszam. Do widzenia". Jedyne co wiem, to gdzie niedoszły rozmówca wybierać się może...

Uczniowie przybiegają z pytaniem i prośbą zarazem. Chcą przygotować prezent dla koleżanki, która w nieszczęsny wiek lat osiemnastu wstępuje. Przeciwno nic nie mam, przecież stare konie raczej nie narozrabiają. Ja biegnę szukać fajki niepokoju. Wróciwszy po chwilach kilku, zdębiałem na widok przyszykowanej niespodzianki. Solenizantka na kolanach i jednocześnie przewieszona przez kolano kolegi zbierała klapsy w tyłek ku uciesze wszystkich. Najbardziej jednak rozgorączkowaną całą sytuacją zdawała się być ona, o czym jej mina świadczyła skwapliwie. Tego w szkole jeszcze widzieć nie było mi dane. Z tym większą ciekawością wracam codziennie do pracy, głowiąc się, co jeszcze zobaczyć mi przyjdzie. Nigdy już stwierdzić się nie ośmielę, że nic zaskoczyć mnie nie może.